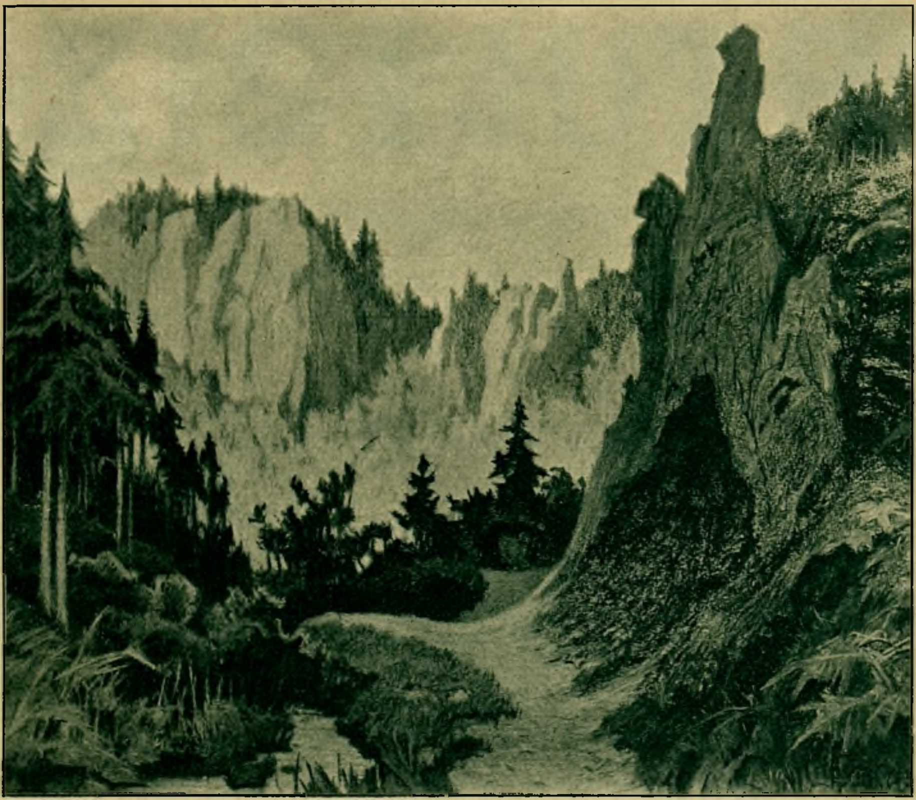


Dolina „Za Bramką" (Pastel) *K. Kłosowski*

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

ROK VII KRAKÓW, 15 KWIETNIA 1931 NR. 8

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. KWIETNIA 1931. № 8.



O, GÓRY WY MOJE!

O góry wy moje! niech serce upoję
i oczy tym waszym widokiem!
Niech Beskid odsłoni szczyt Babiej z mgieł toni
i błyśnie mi śnieżnym Klimczokiem!...

Śród turni a szczytów i jasnych błękitów
tak lekko oddychać, tak sładnie;
a cisza tu taka, że słychać lot ptaka,
szmer wody w dolinie gdzieś na dnie!..

Stąd krótsza już droga do Prawdy do Boga,
do słońca, co tutaj — gorętsze!...
. . . .
O, góry wy moje! Niech świadczą łez zdroje,
że chwile te dla mnie — najświętsze!...

E. Kłoniecki.

AKCJA KATOLICKA MŁODZIEŻY

Odnowić wszystko w Chrystusie!

Odnowić — to znaczy nietylko polakierować z wierzchu.

Odnowić — to znaczy poprawić tryby i sprężyny, usunąć co nadżarte rdzą, lub niedopasowane ściśle do całości, co powoduje tarcie i zgrzyty a w następstwie marnotrawienie siły.

Odnowić społeczeństwo, odnowić człowieka — to znaczy, skontrolować i poprawić zasady, uczucia, czyny.

Zatamować te szpary, któremi energja rozprasza się i marnuje.

Usunąć to wszystko, co powoduje tarcie i zgrzyty. Nastawić go na jeden cel, prosty, jasny, mocny; wszystko w sobie łączący harmonijnie.

— Oto do czego wzywa nas Stolica Apostolska rzucając światu hasło: „odnowić wszystko w Chrystusie"!

Przejdźmy punkt po punkcie.

Najprzód zasady.

Katolik, jako mądry mechanik, z całego przebogatego świata myśli, systemów filozoficznych, etycznych, społecznych i t. d. i dalej, wybiera tylko to, co ściśle i harmonijnie łączy się z jego światopoglądem. Najbardziej świecący, z najcenniejszego nawet kruszczu odlany, najsubtelniej wykonany, fragment, tryb, kółko czy śróbę, odrzuca, o ile nie jest dokładnie dostosowana do całości. Wie on bowiem, że choćby ten fragment sam w sobie był istnem arcydziełem, to wmontowany w jego maszynę spowoduje tylko tarcie i zgrzyty.

I tak n. p. odrzuca katolik zasady teozofji choćby mu się wydały one najbardziej szlachetne i wzniosłe.

Odrzuca spirytyzm, choćby go on nie wiem jak nęcił.

Odrzuca te zasady, bo chce, aby jego światopogląd był nietylko archiwum cennych i drogich mu choćby fragmentów, ale chce aby on był zwartym jednolitym, twórczym organizmem ,zdolnym do życia, do czynu. W pracy odnowienia swej psychiki w Chrystusie poświęcić musi młodzież katolicka specjalną troskliwość dziedzinie uczuć.

Uczucia przecie, to motor czynów.

To siła popędowa, bez której cała maszyna choćby najdoskonalej skonstruowana, staje się martwym zbiorem trybów i kółek. Tutaj zasada oszczędności, zasada koncentracji ku jednemu, naczelnemu celowi musi być zastosowana z największą konsekwencją.

Każde marnotrawstwo pod tym względem, to zagrodzenie sobie drogi wzwyż, to skazanie się dobrowolnie na zastój, to zepchnięcie się na niższy szczebel rozwoju. Więc trzeba z największą troskliwością uszczelnić nasz mechanizm, i zatamować szpary, któremi energja uczuć uchodzićby mogła bezużytecznie.

Więc zerwać trzeba z bezowocnem marzycielstwem, odrzucić precz lekturę, obraz, kino, pobudzające do tego.

Wyrzec się flirtu, bałamucenia siebie i drugich. Czujną postawić straż zmysłom swoim, by przez nie, nie rozmarnował się, nie pokalał, skarb uczuć, ale cały i nieroztrwoniony mógł służyć na tym posterunku na jaki nas wola Boża powoła.

Odnawiając swe zasady, kontrolując ich zgodność z całokształtem nauki Kościoła, oczyszczając swe uczucia, i skierowując całą ich potężną falę ku jednemu, wspaniałemu celowi, stwarza sobie katolik podstawę do jednolitego, zwartego, twórczego czynu. W życiu jego nie będzie błąkania się po bezdrożach subjektywnego „widzi mi się", dziś takiego a jutro innego; bo mu jasną niezawodną drogę wytyka niewzruszona nauka Kościoła, nieodmienny, niezawodzący nigdy dogmat Katolicki.

Z czystej krynicy, troskliwie ochranianej od wyschnięcia i kurzu ulicznego, z żywo tętniącego źródła swych uczuć,

czerpie on zdrój ochłody i siły, nietylko dla siebie, ale i dla całego swego otoczenia.

A gdy mu w jego podniebnej wędrówce wzwyż nadludzkich sił potrzeba; wówczas znajduje je w obfitości u stopni ołtarza, dokąd jak jeleń spragniony na pustyni, zwraca się z tęsknotą.

Z harmonji wewnętrznej, z pewności, że droga jego prosta jest i niezawodnie prowadzącą do celu, z poczucia siły i bogactwa swej duszy a przedewszystkiem z niezmarnowanej nieskalanej w życiu zdolności miłowania wyrasta jego radość.

Radość doskonała, jak ją nazywa biedaczyna Boży, św. Franciszek, bo radość głęboko w duszy — ba! głębiej jeszcze w Bogu — mająca swe korzenie.

Radość niezależna od zewnętrznych okoliczności, ale w najcięższych nawet chwilach, wychodząca każdego dnia z nową, niewzruszoną, pewnością ostatecznego zwycięstwa.

Nie jest to radość powierzchowna, zewnętrzny lakier, pokrywający przed oczyma ludzi a może i przed własnym wzrokiem, tragiczne zgrzyty lub tragiczniejszą jeszcze pustkę.

Nie rodzi się ona z uśmiechu, ale wypowiada się czasem uśmiechem a zawsze czemś głębszem jeszcze, trwalszem, bardziej twórczem: „stałą pogodą duszy".

Do tej pracy cudownej — pod jasnemi promieniami słońca Bożej łaski — wzywa cały świat katolicki Ojciec św. hasłem swej encykliki: odnowić wszystko w Chrystusie.

Ktoby chciał zapoznać się dokładniej z tą pracą, niech sięgnie po wydawnictwa książnicy Akcji katolickiej, wydawanej nakładem Księgarni św. Wojciecha a najprzód niech przeczyta jasne a wyczerpujące dziełko Księdza Dr. Sawickiego, „Dusza nowoczesnego człowieka", pod którego tchnieniem zrodziły się myśli ujęte w niniejszy artykulik.

M. S.

MAKATA

Na warsztacie mych codziennych zajęć
szare nitki roszonego lnu —
Dzień jest smutny, śnieg na polach taje
i deszcz pada pośpiesznie, bez tchu.

Nieudolnie praca się zaczyna,
idzie ciężko, opacznie i źle —
Jakaż nędzna będzie to tkanina
gdzie się szarość sama w sobie rwie.

Ale to na niteczki lniane,
jak jedwabi wielobarwnych zwój,
róż uśmiechu padł z ust ukochanych,
szafir spojrzeń, złoto dobrych słów.

Te jedwabie, skarby, cuda świata
w mrok osnowy szarej ręka tka,
by jak śliczna, buczacka makata
lśnił trud ciężki powszedniego dnia.

Marja Czerkawska.

WSPOMNIENIA Z GÓR

Wracałyśmy do gór po miesiącach pobytu w mieście tak, jak się po długiej tęsknocie wraca do ojczyzny. Góry były bowiem naszą drugą, prawdziwą osobistą ojczyzną. Nie byłyśmy wtedy taterniczkami. Nie orjentowałyśmy się w dolinach, ani szczytach i najzwyklejszych szlakach; nie dokonywałyśmy żadnych „czynów" sportowych, nie oceniałyśmy dostatecznie grożącego nam niebezpieczeństwa. Chodziłyśmy najczęściej we dwie — ja z moją koleżanką z uniwersytetu. Popełniałyśmy mnóstwo nierozważnych kroków, do których nie nieprzyznałby się żaden „szanujący" się taternik, i o których nie lubiłyśmy mówić potem, gdyśmy już poznały lepiej Tatry i zdobyły nieco wiadomości o turystycznej technice. I teraz możeby było lepiej nie opowiadać o tych szalonych wyprawach. A jednak znajdujemy tyle czaru w tych wspomnieniach i teraz nagle rozumiemy, ile prawdziwych wartości zdobywałyśmy w tem bezpośredniem obcowaniu z piękną, górską przyrodą, że chętnie wracamy myślą do tych pierwszych, nieudolnych wycieczek. A jest w tem wspominaniu przymieszka pogodnego smutku, jak w każdem spojrzeniu na to, co minęło.

Chodziłyśmy z początku po polskich Tatrach, ale marzyła się nam „tamta strona". „Tamta strona" — oznaczała słoneczne, południowe stoki naszych gór. Wśród nich otoczyłyśmy specjalną legendą Wysoką i Żelazne Wrota. Co pobudziło naszą wyobraźnię właśnie w tym kierunku, nie wiem. Gdy pierwszy raz wybrałyśmy się w góry czeskie — postanowiłyśmy być przedewszystkiem na Wysokiej. Od Morskiego Oka prześladowała nas uparta mgła. Czepiała się skał, rozrywała się o skalne turniczki, uciekała i wracała znowu. Martwiłyśmy się tym stanem pogody i z zniechęceniem pięłyśmy się po piargach, zgięte pod ciężarem plecaków z żywnością, ubraniem i kocami. Na Rysach znalazłyśmy się nagle, jak na wyspie wśród morza białych, kotłujących się mgieł. Nie widziałyśmy nic. Legendarna „tamta strona" — nie chciała nam się pokazać. Aż wreszcie, a było już bardzo późno, z bezładu kłębiącego się u naszych stóp wyłoniły się kształty turni, potem szczyty, łańcuchy, doliny, siwiejące w miarę oddalenia i stawy, jak tafle malachitu w zawieszonych nad dolinami kotłach skalnych. Pokazało się pierwszy raz tego dnia słońce. Mgły rozpłynęły się zupełnie, zaczepiając się jeszcze tu i tam, jak kłębki białego puchu. Była pogoda. Nie chciałyśmy wracać. Pod Rysami, na przełęczy Waga — rzeczywiście ważyłyśmy nasze postanowienia. Za późno, by iść jeszcze naprzód, za pięknie, by wracać do schroniska. Ryzykując nocowanie pod gołem niebem, zwróciłyśmy się drogą od Wagi do Wysokiej. Oczywiście przy zupełnym braku orjentacji, którym grzeszyłyśmy wtedy wybitnie obie, szłyśmy dwa razy dłużej, niż należało iść. Było już ciemno, gdyśmy znalazły się w górnej części żlebu, wiodącego na Wysoką. Na szczycie byłyśmy o dziewiątej! Odwróciłyśmy się, milcząc w stronę dalekich nizin. Wiatr na samej grani hulał; ziębił, ale trudno było przerwać ten czar górskiej nocy, który szedł od rozgwieżdżonego nieba, od płonących świateł w nizinach i nad Szczyrbskiem jeziorem, od groźnych zarysów grani. Wkońcu jednak trzeba, było coś rozsądnego po tylu nierozważnych krokach postanowić. Zeszłyśmy ze szczytu, ażeby w podmuchach wiatru nie zamienić się w dwa sople lodu. Nie mogłyśmy pozostać w żlebie ze względu na lecące kamienie. Weszłyśmy na grzędę. W poszukiwaniu wygodnego miejsca spoczynku spuszczałam się z jakiegoś stopnia skalnego (sumienie taternika oburza się dziś na tę lekkomyślność) i obsunęłam się. Zaczęłam szybko zjeżdzać po wygładzonej płycie. . Dobiegł mnie zimno konstatujący fakty głos: „ależ ty zjeżdżasz"!

Nim zdołałam odpowiedzieć, charakterystyczny odgłos lecących kamieni dał znak, że moja towarzyszka popełniła ten sam błąd, co i ja. Znalazłyśmy się na płycie urywającej się na wszystkie strony pionowemi ściankami, do góry zaś wznoszącą się stopniem, z którego obie spuściłyśmy się mimowoli. Trzeba było tu nocować. Umieściłyśmy się możliwie wygodnie, okryły kocami, zjadły kolację, choć wobec naszej pozycji pół leżącej, a pół siedzącej i ciągłego zsuwania się po gładkiej płycie ku wrogo-ciemną linją zarysowanym brzegom płyty, nawet rozpakowanie plecaka stanowiło nielada trudność. A potem nastąpiła długa, cudna noc. Wał chmur w kształcie doskonałego walca ułożył się nad Szczyrbskiem jeziorem; niebo nad głową, pełne było gwiazd, niespodziewanych po szarym, zamglonym dniu. Nie wiedziałyśmy nic, nie czułyśmy nic, prócz tej niesamowitej, przerażającej ciszy górskiej, która jest pełnią głosów, krzyków, niesłyszanych, gdzieindziej dźwięków. To lecą kamienie w sąsiednich żlebach. Toczą się drobne piazgi z szelestem, czasem nagle z hukiem przeleci lawina kamienna. Każdy głos odbija od ścian skalnych, oddają go sobie wzajemnie Ganek, Rumanowej, Żłobisty — Szarpane turnie. A tłem wszystkiego, istotą tej ciszy jest rozbijająca się na tysiące tonów, zgrzytów, dzwonień muzyka wody. Rozpryskuje się głos spadających z progów na płyty kropel, szumi woda płynąca żlebem, sączy się dźwięk z pod śniegu wypływającego i leniwie w spękaniach rynny sączącego się potoczku. Nagle wydaje się, że wszystko ucicha.



Wśród szczytów i turni patrzymy w samą twarz groźnej przyrody...

Znowu wraca to samo. Słychać dzwonki, jakby stado owiec pasło się obok, głosy ludzkie i i zwierzęce, stąpania, — krzyki. Spać nie można w tej ciszy górskiej. Ogarnia nas — dwie na gładkiej płycie zaczepione istoty — zabłąkane w obcy wrogi świat — strach. Nie wstydzimy się tego. Nie boimy się niczego konkretnego Nie. To tylko świadomość, że oto teraz patrzymy właśnie, wśród tych szczytów, turni, które rosną nam nad głowami, w samą twarz groźnej przyrody. I czujemy naszą ludzką, przez Boga nam daną odrębność, obcość i zarazem jedność z żywiołem, który nas otacza. Czekamy w milczeniu rana i słońca. A kiedy zaczyna pełzać po ściankach sąsiednich i urwiskach żlebu mdłe światło ,patrzymy na siebie ze zdumieniem. Nie możemy zrozumieć, jak dostałyśmy się tutaj, a co ważniejsza nie wiemy, jak wydostać się. Udaje nam się to po długich trudach. Schodzimy w dół żlebem (bo oczywiście nie wiemy, że łatwiej jest iść jego brzegiem), spuszczamy się z jego mokrych progów, dokładnie wygładzonych śniegiem.

Na dole staw, dużo słońca. Siwarniki wylatują z pod kamieni i świstają świstaki. Cieszymy się nędzną jeszcze, ale zieloną trawą. To życie, które przeciwstawia się skalnej martwocie. Potem błądzimy wśród „maliniaków" — bo znowu nie wiemy, jak najprościej dojść do ścieżki, biegnącej gdzieś w dole, dnem złomiskiej doliny. Spotykamy kozice i świstaki. Jest wesoło. Dużo słońca dokoła. Śpiewamy. Widzimy uśmiech na tej samej twarzy natury, która nam się ukazała w nocy. Wkońcu ukazuje nam

się głęboko u stóp potok rozlany na szerokiej polanie i ścieżka. Schodzimy, omijając płaty kosówki. Spotykamy teraz całe gromady złotych, roześmianych promieniście kozłowców i ciemnio-niebieskich, trujących ujadów. I znowu w jednych i drugich ukazuje nam się jedna i ta sama przyroda — w jednych słońce i życie, w drugich noc i groza.

CUKIER Z KLONU

Podróżnicy opowiadają, że w pewnych okolicach Kanady, gdzie osiedlili się pierwsi farmerzy polscy zastali tam uprawiany, na wielką skalę przemysł wyrobu cukru, z soku drzewa klonowego. Na szerokiej przestrzeni, porosłej lasami klonowemi, mieszkała uboga ludność tubylcza, która od niepamiętnych czasów używała soku klonowego podczas wiosny do słodzenia potraw. Osadnicy polscy przybyli tam przed kilkudziesięciu laty poczęli ów sok przerabiać na cukier. Uzyskują sok, z całą ostrożnością wypuszczając go z drzewa, by nie niszczyć i nie wycieńczać tej miodopłynnej studni.



Sok zebrany z drzew klonu przewozi się na sankach do najbliższej centrali, cukrowni.



Polski farmer gotuje w kotłach sok zebrany z drzew klonu, by otrzymać cukier na własny użytek.

Kanada osiąga rocznie 26,000.000 funtów syropu, a 3/4 z przerobionego cukru wysyła do Stanów Zjednoczonych. Próbowano wyrób cukru z soku klonów zaprowadzić i w innych krajach, ale próby nie powiodły się, bo gatunek klonu, wydzielający cukier (acer saccharinum) rośnie i udaje się tylko w Kanadzie i drobnej połaci Stanów Zjednoczonych. Drzewo to przeszczepione w inne okolice daje sok nie słodki.

Syrop uzyskuje się przez zranienie drzewa; mianowicie robi się świdrem otwór, na wysokości metra od ziemi i umieszcza się rurkę, która powinna szczelnie przylegać. Przez otwór rurki ścieka kroplami gęsty, zielonawy płyn, do wiaderek blaszanych, niżej zawieszonych. Sezon plonów trwa 6 tygodni, a w tych ma drzewo 10 „dobrych" dni, w których daje po 12 litrów soku. Prze-

ciętnie w sezonie daje jedno drzewo 150 litrów, z czego przerabia się około 6 funtów cukru, ale są drzewa, dające tak obficie sok, że uzyskuje się 30-40 funtów cukru, co odpowiada 800 do 1.000 litrów.

Jeśli weźmiemy przeciętną tylko ilość soku z jednego roku, to klon, podczas swego życia, tj. lat 40-45 daje plon, przeszło 6.000 litrów syropu, albo 240 funtów cukru. Zbiory soku w lasach i specjalnych plantacjach zaczynają się w ostatnich tygodniach zimy, a trwają do początku kwietnia. Chłodne noce, przeplatające gorące, słoneczne dnie wpływają na obfitsze wydzielanie się soku i lepszą jakość jego. Jak są wrażliwe rany drzewa, wskazuje to, że klon natychmiast przestaje wydzielać sok, gdy tylko silniejszy wiatr nadciąga, albo burza się zbliża. Drzewo na południowej stronie obficiej „płacze" syropem, jak ze strony północnej.

Przeróbka cukru z drzewa klonowego nie rozwinie się w wielki, fabryczny przemysł, ze względu na to, że „hurtownej" dostawy soku Kanada nie dostarczy — ale przemysł na skalę, jaką się prowadzi wystarczy dla dobrobytu farmerów i całej ludności tej okolicy.

Z. K.

W FILARZE

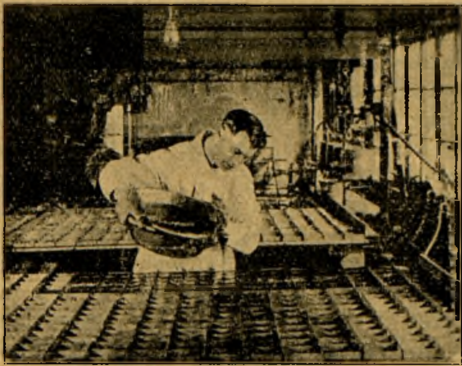
(Fragment).

Ściskała pracował w pokładzie „Edmunda".

Z podszybia trzeba było wędrować długo kamiennym przekopem minąć kilkoro drzwi i zwrotnic, rozszczepiających główny tor na bocznice, co w ciemne czeluście dojazdowych chodników wpełzały, zawrócić w diagonelę i teraz błąkać się, zawracać i kołować w plątaninie chodników i ganków, zanim człek doszedł do przodku do wybieranych filarów. Pokład był gruby na dziewięć metrów. Pracowano w nim od niepamiętnych czasów. Kiedy Ściskała po raz pierwszy do kopalni zjechał, a był wtedy piętnastoletnim chłopcem, to już z „Edmunda" wybierano węgiel.

Cały pokład poprzecinano wzdłuż i wszerz chodnikami i przecinkami. Począwszy od uskoku, gdzie był kres jego, zamknięty kruchą ścianą piaskowca, aż do przekopu. Z drugiej strony przekopu to samo. Wskutek tego pokład czynił wrażenie ogromnego pola, które pokratkowano prostemi, krzyżującemi się bruzdami. Potworzono równoboczne działki, objęte ze wszystkich stron gankami. Każda działka tworzyła tak zwany filar. Wybierano je pokolei od uskoku począwszy, posuwano się powoli do przekopu, zostawiając za sobą zawaliska, pełne podrzązganego drzewa, potwornych brył kamieni z oberwanego stropu, duszące, ciepłe powietrze i grozę czającej się śmierci. Wejścia do nich odgradzano krzyżami, zbitemi z odłamków desek i rozstawionych napoprzek chodnika. Znak to był dla wszystkich, że poza krzyżem śmierć czeka. Nikt tam nie wchodził. Sączył się stamtąd słodkawy zapach zbutwiałego drzewa i ciężki odór siarkowodoru.

W każdym filarze pracowało z zasady po dwóch lub czterech kopaczy oraz kilku wozaczy i chłopców. Kopacze łupali caliznę szramówkami, podcinali od spongu, zbijali klinami, a gdzie ściana dzwoniła, gdzie nie można było jej ukruszyć godziwie, imali się świdrów. Były to długie, okrągłe sztaby żelazne o spłaszczonych, ostrych i zahartowanych końcach. Kopacz ujmował świder, wykrzesał dziobcem mały otwór, by tylko jako tako zachwycić, rozkroczył się, popluł w dłoń i jął bić małym, obłym młotem pod spłaszczonej głowicy sztaby. Za



Zgęstniały sok klonu przerabia się na tafelki i kostki cukru (str. 74)

każdem uderzeniem przekręcał świder w dłoni naokoło jego osi.

W innych pokładach, niższych, używano już pneumatycznych wrębiarek w kształcie ciężkiego, grubego rewolweru. Była to nowość, z Anglji importowana, która niechętnie przyjmowała się wśród górników. Wprawdzie praca szła piorunem, wmig otwór był wybity, lecz ryk wyzwalającego się powietrza z wrębiarki i szczęk żelaza był tak przejmujący, że jedynie można się było na migi w czasie pracy porozumiewać. Poza tem rozprężające się powietrze wybijało takie potworne tumany pyłu węglowego, że człowiek odtąd stale pluł czarną, gęstą śliną. Światła przyćmiewały się w jego gęstych kłębach, pryskały drobniuchnemi skierkami, kopciły czadem, skąpiąc jasności dla wytężonych oczu. Oprócz tego każdy górnik, pracujący ową wrębiarką, odbijał sobie po pewnym czasie dłoń. Musiał ją trzymać w dłoniach; lewą dłonią obejmował lufę, w której rzucał się zwarjowany tłok z nasadzonym świdrem, prawą dłonią naciskał uszak u podstawy wrębiarki. Ponieważ maszyna wtenczas potrafiła się skutecznie wgryzać świdrem w caliznę, jeżeli ją naciskała mocno dłoń, a równocześnie za każdym rzutem tłoka wrębiarka „kopała", podrywana gwałtownemi a szybkiemi odbiciami, mięśnie prawej dłoni ulegały wkrótce bolesnemu zapuchnięciu, odbijały się od kości, na środku dłoni otwierała się ropiąca rana, która wymagała długiego leczenia. Po wyzdrowieniu górnik taki już nie mógł pracować wrębiarką.

— Pierońskie „pikwiki!"... — poklinali górnicy, nazywając wrębiarki z angielskiego języka — piere to, jak opętane, narobi gruchu, dziury w okamigu odwali, a człowiek i tak psińco zarobi, bo panowie zerwali zapłaty na każdym wózku!...

W filarach nie używano wrębiarek. Praca w grubych pokładach wymagała względnej ciszy. Wiszący nad głowami strop wspierał się nie tyle na smukłych stropnicach, ile we własnem spojeniu. Jeżeli popuścił, podpory nie wstrzymały jego potwornego ciężaru. Skręcały się, łamały błyskawicznie na wióry, a równocześnie skruszony strop zapadał z krzykiem i łomotem w wybraną przestrzeń, krótkim, rozdzierającym rykiem wypychał gwałtownie powietrze, które wywalało się na chodniki, stemple łamało, drzwi drzązgało, światła gasiło i ludzi rzucało pod ściany. A kiedy górnicy wrócili do filaru, zastali już jeno olbrzymie usypisko sinych kamieni, sięgające wysoko w jądro rozdartego stropu. Miejscami tylko sterczały z rumowiska zmiażdżone stemple i stropnice, zgryzione na drzazgi, zżute i postrzępione.

Ponieważ jednak zawalenie się filaru poprzedzało tak zwane tąpanie w stropie, podobne do krótkich, urywanych strzałów, na głowy jęła się posypywać skruszona powłoka stropu, a równocześnie stemple i stropnice zaczęły stękać ludzkim głosem, trzeszczeć i rozszczepiać się, nie używano więc w filarowych przodkach ryczących wrębiarek, któreby tamte ostrzegawcze głosy stłumiły. Ogłuszeni ludzie nie słyszeliby nic, prócz swej maszyny, i ginęliby zmiażdżeni spadającym obwałem.

A tak, ledwie rozleciało się pierwsze tąpnięcie ponad głowami, porywali lampy i narzedzia, i chronili się w bezpieczne chodniki. Nie długo zazwyczaj cze-

kali. Tuż za piętami prawie goniła ich śmierć, za progiem filaru ogłuszał ich przeciągły łomot i ryk, a wypychane powietrze zwalało ich z nóg, pod ściany zataczało i lampy gasiło.

Zdarzało się czasami, że gwałtowne tąpanie ucichało powoli, stropnice powyginały się tylko, rozszczepiły, poskręcały, lecz strop nie zapadł się. Najwyżej wygiął się, rozpękł w szerokie szczeliny, zaparł się kantami obluźnionych bloków kamiennych w piętrze stropu i utworzył jakoby sklepienie. Lecz drobne posypanie kamyczków świadczyło, że wiszący ciężar chwieje się, obniża niewidocznemi ruchami, obluźnia stopniowo i kruszy spojenia. Było to podobne do człowieka, który skonać nie może. Lecz nadchodziła rychło chwila, że ostatnie jakieś ogniwo pękało i wtenczas burza piekielna rozwichrzyła się w przeklętym filarze.

Ściskała pracował w takich filarach. Do owej pracy przeznaczano najbardziej doświadczonych górników. Toć przecież na nich ciążyła odpowiedzialność za życie towarzyszy. Przez długoletnie zżycie się ze śmiercią, co zdradliwie czyhała na żywot ludzki, poznał wszystkie jej ścieżki, któremi zwykła chadzać, przejrzał jej chytre a złośliwe zamiary, umiał z góry przewidzieć jej zamiary, po najmniejszych znakach i szelestach poznawał, kiedy się zakrada. To wszystko, coby u młodszego górnika uszło uwagi, drobne posypnięcie kamienia ze stropu, swoiste tąpnięcie w piętrze, leciuchny szelest osuwającej się nieznacznie ławy węglowej i pukanie lekkie a trudno uchwytne w stropnicach, cały ten drobny świat tajemniczych głosów musiał umieć podchwycić, zrozumieć i ocenić, jak daleko jeszcze im do chwili, w której uciec będzie potrzeba.

Przez długie lata co dnia i co nocy wgryzał się ręcznemi świdrami w czarne jądro, zmieniał świdry, bił spokojnie w ich czapy, wymierzał spojrzeniem miejsce, w któreby należało bić nowe spoczywał dopóki chłopcy nie uprzątną otwory, a kiedy uporał się z wierceniem, zwałów węgla, co jeszcze od ostatniego odstrzału pozostał.

Potem przynosił z chodnika naboje. Szare tulejki z dynamitem wsuwał do otworu. Jedną, wepchnął drewnianym kijem, tak zwanym lajsztokiem, następnie drugą, trzecią i czwartą. Czasem wsuwał ich więcej, czasem mniej. Zależnie od głębokości otworu. Ostatnią tulejką zatykał zapalnikiem, od którego zwisał lont. Resztę otworu zapchał mchem. W ten sposób wypełnił wszystkie otwory.

Chłopcy tymczasem usuwali drabiny, wynosili łopaty i kilofy, kryli się w przyległym ganku za węgłem. Ściskała upewnił się, czy wszystko w porządku, przebiegł oczyma zwisające lonty i jął teraz szybko przystawiać do nich płomyk swej karbitowej lampki. Rozjarzyły się, zabłysły drobnemi wiechciami ciemnego ognia, jęły pełzać wzdłuż ściany. Czołgały się z szelestem po lontach, pryskały rozpylone iskierkami, podnosiły do otworu, coraz wyżej, coraz bliżej. Ogniki jeden po drugim wchodziły chyłkiem w czerniejącą szczelinę, wypełniły jej wnętrze rudym blaskiem, wędrowały coraz głębiej...

Ściskała z chwilą zajęcia się lontów uchodził szybko za swymi ludźmi. Teraz przyczajeni czekali. Sekundy zawsze wydawały się wówczas godzinami. Aż nadchodziła oczekiwana chwila. Ciemną, głęboką ciszę rozrywał pierwszy huk! Tępy, stłumiony, jakby ktoś ogromną dłonią, w sklepienie wygięte, o grubą darnię uderzył. Zachybotały się płomyki w lampach, zakłuło w uszach, posypał się zmełłty miał ze stropu. Po nim drugi, trzeci i następne!...

W ganek wywalił się teraz słodkawy siny dym i zaczynał się przewlekać w górę chodników, rozcieńczał się po drodze, krztusił ludzkie płuca, jeszcze długo potem błąkał się prawie już niewidoczny po opuszczonych chodnikach, aż doszedł pod szyb wiatrowy.

Górnicy wracali po odstrzałach do przodku. Pod stropem wisiały jeszcze

płachty sinego swędu. Nachylali się, wyciągali ramiona z lampami i patrzyli łakomie, ileż węgla zwaliło się pod ścianę.

Odbudowa filarów pochłaniała całe lasy. Smukłe, wiotkie, żywice pachnące pnie sosen opuszczano szybikami w podziemie i trasportowano do przodków. Jeżeli strop był słaby, zapinano ryszpy i podbijano stemplami. Jeżeli mocny — wystarczały pod stropem okorki, wsparte stemplami. Bieliły się w czarnej czeluści, syciły duszne powietrze zapachem leśnym, wilgotne, obce jakieś, świat Boży w przypomnienie zwołujące. Jakby ktoś garść cudnych kwiatów w ciemny grób porzucił i odszedł.

Żaliło się serce ludzkie nad niszczeniem tyle drzewa. Gdzie się dało, rabowano je.

Od kilku miesięcy inżynier przeznaczył Ściskałę do tej niebezpiecznej czynności. Nie zawsze się filar zawalił. Wybrany do reszty, wsparty krańcami na pozostawionych ścianach węglowych czyli tak zwanych nogach, wypełniony alejami pni sosnowych, czekał swego kresu. Wtedy przychodzili górnicy i wydzierali z pod stropu podpory.

Straszna to była praca.

Zaczynano od głębi filaru, podkopywano spong i wybijano kilkoma uderzeniami perlika. Śmigły pień opadał. Wtedy wywlekano go z radością na chodnik. Następnie imiano się drugiego, dziesiątego i następne, pokolei, aż wszystkie wydobyto. Strop, pozbawiony ostatniego podparcia, trzeszczał groźnie, pękał, sypał miałem na schylone głowy. A Ściskała z Kuczerą czaili się, umykali przezornie, ślepili czujnie pod wierzch, słuchali złowieszczych głosów, przewalających się w ciemnej głębi nad głowami, wyczekiwali w bezpiecznym ganku, znowu wracali, ukradkiem, jakby na palcach, podobni do upartego zwierza, którego trudno od łupu odpędzić.

Dobrze wiedzieli, że wyzywają śmierć. Toć koło nich się ocierała, jej oddechem zdawali się oddychać. Człowiek się czaił, śmierć się czaiła. Kto kogo przychytrzy?... Kto kogo ubiegnie. Chodziło o to, by jej ostatnie, rozwścieklone już cięcie umieć przedbiec, uchylić się naczas, odskoczyć w opiekuńczy chodnik i prychnąć drwiącym śmiechem z jej bezsilności. Ściskała w pracy tej roznamiętniał się. Niebezpieczeństwo nęciło go. Radował się zwycięstwem człowieka mocnego, który z pogardą wielkopańską wyzywa je, bawi się, a potem triumfuje.

Kiedy strop zaczął się zarywać, kiedy w jego głębi jęły już zwalać ogromne obłamy calizny, a reszta stempli pękała i wykręcała się, wywalając z siebie poplątane strzępy słojów, Ściskała do ostatniej chwili jeszcze nie ustępował. Żeby przynajmniej jeszcze raz perlikiem prasnąć o upatrzony pień, jeszcze podbiec pod tamten blok potworny, co się już chyli, i za drobny ułamek sekundy runie z wyciem na spong, uprzedzić go i porwać pozostawiony kilof czy łopatę, potem odskoczyć w ukrycie i wyczuwać tę dziką, opętaną radość, że się śmierci unikło.

Stawał się całkiem innym człowiekiem. Oczy mu gorzały, zęby raz wraz odsłaniały, jak kły u zwierza, mięśnie naprężały jakby do ostatecznego skoku, a serce, to jego głupiutkie, miękkie serce dygotało z tamtej tajemnej radości, jak napięta cięciwa stalowa. Sam siebie nie poznawał.

A kiedy w ostatniem okamgnieniu przypadał do chroniącej go ściany, szeptał przez zaciśnięte zęby:

— A widzisz, pieronie!... Aleś mnie nie dostoł!...

I patrzał urzeczony, jak zniszczenie szaleje we filarze.

— Dejcie se pozór!... — ostrzegał ich zawsze dozorca, mówiący to wszystkim z nawyku.

— Już tam się nie boją, panie sztygar — uspokajał go Ściskała lub Kuczera — już tam się nie boją!... Jo zaś nima taki głupi, jak wyglądom!...

I założył sobie z nich każdy na śliwkę, splunął daleko i jął zakradać w zdradziecki filar.

Mijały w ten sposób dni za dniami. Od tygodnia pracowali Ściskała i Kuczera w zachodniem polu. Tam był strop naprawdę mocny. Kilka filarów już było do reszty wybranych a teraz ziały pustką i smętkiem starego cmentarzyska. Zawalenie ich musiano przyśpieszyć, bo gdyby tak nastąpiło znienacka, wyparte powietrze mogłoby spowodować spustoszenie w odbudowie chodników, wywalić drzwi jedne i drugie, ludzi poranić, którzyby się przypadkiem znajdowali w pobliżu. A przedewszystkiem niespodziewany a nagły obwał mógłby dotrzeć do filarów, w których się obecnie pracuje, i pracujących tam ludzi przywalić.

Jeszcze mieli ostatni filar wyrąbować. Trzy stemple stały jeszcze, tuż u wyjścia w chodnik, a strop jeszcze nie puścił.

— Cóż, u djabła, czy nie bydzie walić, czy co? — dziwował się Kuczera.

— Hm, nie chce. Bydymy musieli jeszcze jeden stempel, oto ten wydobyć — i wskazywał na ogięty pień, wysunięty najdalej w głąb przodku.

— Toż chytejmy się, bo dzisio muszymy skończyć!...

Ściskała przyniósł kilof i na zmianę jęli podbierać spong z pod stempla. Jeden kuł dziobcem w kamień, wygrzebywał dłonią, wgryzał się pod podstawę stempla, a drugi świecił i śledził czujnie za najmniejszym szelestem. Potem się zmieniali.

Podgrzebanie stempla nie wymagało zbytniego wysiłku. Skruszony spong ustępował łatwo pod uderzeniami kilofa, wykruszał się, szczelina pogłębiała się, sięgała coraz dalej. Męczyła tylko niepewność, czy na ogięte plecy nie runie w jakiejś chwili odłam stropu. Skruszony, miejscami wydęty spong ustępował łatwo pod uderzeniami kilofa, wykruszał się, szczelina pod stemplem sięgała coraz głębiej.

Ściskała rąbał, Kuczera stał opodal i czuwał.

— No już może bydzie mioł dość!... — zauważył Kuczera.

W stropie przeleciało lekkie klaśnięcie. Cofnęli się obydwaj, popatrzyli w górę. Cisza.

— Eh, to nic — mruknął Ściskała. Schylił się i wsunął palce pod stempel. Chciał zbadać, czy sięga już poza połowę jego podstawy. W tej samej chwili rozleciał się głuchy huk ponad głowami, w głębi obsunął się potworny blok i legł ciężko. Równocześnie podbierany stempel strzelił przeciągle, rozszczepił się, część podstawy wyłamała się klinowatym oszczapem, i resztą podstawy siadł.

Uwięziło palce Ściskałowej ręki, przygniotło do spongu, rozmiażdżyło. Zabarwił się miał koło dłoni krwawą posoką.

— Jezus!... Marjo!...

Szarpie Ściskała dłoń, wydostać nie może!...

Huk w piętrze powtórzył się!

Drugi!...

Od przeciwległej ściany wali się strop, rechoce łamanemi krawędziami twardy piaskowiec, wzbija czarną chmurę pyłu, zbliża się do stempla!...

— Jezus!... Marjo!...

Szarpie Ściskała przychwycone palce, wydziera, nogami zapiera!...

Kuczera pomaga. Za ramiona chwycił i drze ku sobie. Nie Iza!... Ściskała jęczy, słania się, Strop kruszy się w bryły, coraz bliżej, opada z krzykiem, coraz bliżej... coraz bliżej!...

Śmierć stanęła przed oczyma ,straszna śmierć!...

Jezusie święty!

Ostatnia myśl! Skoczył Kuczera w chodnik, porwał siekierę z pod ściany, skoczył do Ściskały, podniósł, wymierzył w ostatnim rzucie źrenic, koło stempla, i ciął! Błysnęło ostrze, odrąbało palce!

Ujął Ściskałę za lemiec, szarpnął i wywlókł na chodnik. Potoczył się obok niego. Już bezpieczni. W tej samej chwili przewalił się ogłuszający skowyt spadającego stropu. Pęd powietrza cisnął nimi pod ścianę, ciemność zawarła się koło ócz. Zakrztusili się pyłem. Ser-

ce dygoce, dygoce. Za nimi zdycha ostatni łoskot obwału, przechodzi w szelest, milknie. Dzwoni w uszach przerażona cisza, przelewa się szmer stłamszonych oddechów.

Co się stało, co?...

Przytomnieje serce ludzkie, zbiegają się wylęknione myśli.

— Żyjesz kamrat? — pyta Kuczera, szukając w ciemnościach Ściskałę.

— Też się tak głupie pytosz! — odpowiada Ściskała z pod ściany — toć żyję, jeny mi się w głowie kręci!...

— Ale pierona, tośmy mieli szczęście!

— Święto Barborka nas uretowała!

— A czy ty wiesz, żech ci palce odciął?

— Palce?...

— Nó pomacej!... Inszego wygibu nie było. Szasnąłech siekierą po palcach i zbyte. Dyćby cie było zakutało do imentu, gdybych tak nie zrobił!

— Nale, Jezusku, moga rzec!... — zaskomlił Ściskała, który teraz dopiero zauważył brak palców u lewej dłoni. — Rożnij lampę!...

Kuczera poszukał zapałek, potarł o spodnie, zapalił. Rozstąpiły się mroki, zmieszały z żółtem światłem .Poszukał oczyma Ściskałę i ujrzał, że ten trzyma dłoń przed sobą i patrzy w cieknącą krew.

— Pónbóczek ci też zapłać, kamrat — wymamlał Ściskała — Pónbóczek ci też zapłać!...

— Dyć nima za co, ni!... Ale jednak mieliśmy pierońskie szczęście!...

— Mieli... przyświadczył jeszcze Ściskała i zemdlał.

Gustaw Morcinek.

KARTKI Z PODRÓŻY

„S/S Andes" sunął dalej na południe wzdłuż brzegów stanu Rio Grande do Sul. Kraj ten trzy lata temu zwiedzałem, są to przeważnie stepy. Nigdy nie znikną mi one z pamięci, choć byłem tam tylko przez krótki czas.

„La pampa" albo „campos" — nazwa ta budzi tysiące wspomnień. Czarowny przestwór, po którym wiatr hula i kłoni wysokie trawy i zarośla. Step nie wszędzie jest równy, miejscami wznoszą się łagodne wzgórza, w dolinach szerokie rzeki toczą powoli mętne wody, a nad niemi drzemią brodate olbrzymy — drzewa.

Step pełen zdziczałego bydła, spotkać też można i dzikie zwierzęta. Ludzi tylko mało. Dom od domu znajduje się często w odległości jednej „legua", równej 40-tu kilometrom, dróg prawie niema. Koń, siodło, oręż, zręczne władanie lassem — to życie codzienne Gancza (Ganczo — biały mieszkaniec pampy).

Z Porto Alegre stolicy stanu biegnie kolej żelazna wzdłuż szerokiej rzeki „Jacuhy" (Żakui) na zachód ku granicom Argentyny.

Pociąg złożony z wagonów pierwszej i drugiej klasy, ruszając z peronu częściami wyjeżdza przez zwykłą bramę, oddzielającą dziedziniec od ulicy, gdzie obie połowy całego składu po manewrowaniu zostają zczepione (w dziedzińcu bowiem zaciasno) i teraz dopiero cały pociąg rusza naprawdę w daleką drogę. Jedziemy ulicą, mijamy przedmieścia, jeszcze migają perony podmiejskich stacyjek, wysadzone palmami, jeszcze często widać małe osady, ale po kilku godzinach osiedla i przystanki stają się coraz rzadsze. Powoli znikają i pola uprawne.

Jadę w wagonie drugiej klasy, szczelnie zapełnionym przez pasażerów dwóch kategoryj. Jedni z nich w szerokich kapeluszach, wysokich butach, z rewolwerami i tasakami u pasa, weseli, rozmow-

ni, pewni siebie — to miejscowi koloniści. Drudzy ubrani szaro, o zmęczonych twarzach, milczący, trochę zdziwieni, a może i przerażeni — to emigranci świeżo przybyli z Europy.

Siedziałem właśnie w gronie Niemców, którymi opiekował się sąsiad mój, nauczyciel już dawno zamieszkały w Brazylji. On to wiózł całą tę partję przybyszów na przygotowane działki w puszczy. Opowiadał ciekawe rzeczy.

Step już się zaczął. Widzę jak pierzcha stado spłoszonych strusi. Migają raz po raz słupy telegrafu, po obu stronach toru ciągnie się w celach zabezpieczenia płot z drutu. To tu, to tam widnieją stada bydła rogatego. Nikt tu go nie dogląda, żyje pod niebem. Czasem tylko na horyzoncie przeharcuje jeździec ledwo widoczny i zniknie z oczu.

Nagle ryk parowozu i raptowne hamowanie, pociąg zwalnia biegu. Co się stało? — Na torze stado; już ucieka. Powoli ruszamy; zraniony przez parowóz byk zsuwa się do rowu.

Nareszcie stacja. Dokoła kilku domków moc osiodłanych koni, jeźdzcy — ganczo zgrupowali się przy pociągu, odbierając listy, paczki i wiadomości.

Wygląda to jakby postój jakiegoś półszwadronu, prędzej oddziału kozaków. Siodło nabijane srebrem, przykryte baraniemi skórami, frężle i rzemienie gęsto usiane błyszczącemi ozdobami. Zachwycające tu są wzorzyste wyroby skórzane. W mieście często lubiłem stawać przed oknami rymarzy, przyglądając się miejscowym wyrobom.

Jeden z nowoprzybyłych stepowych pasażerów usiadł przy mnie, wydobył z pochwy nóż, nakroił trochę suchej kiełbasy i zaczął kawałki te rozgniatać w dłoniach. Patrzyłem na tę manipulację z zaciekawieniem. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast to zjeść, zawinął w liść kukurydzy, włożył do ust i zapalił. Był to papieros z miejscowego tytoniu. Podróżny miał na sobie ponczo (rodzaj peleryny), sombrero, pas a przy nim oręż. Cały jego bagaż stanowiły dwa niewielkie worki odtroczone od siodła.

A gdzie pański koń? zapytałem

Mój koń został zabrany do domu przez towarzysza i dopiero jutro na wieczór będzie na miejscu, brzmiała odpowiedź. Zrozumiałem wtedy jaka to odległość dzieli jego dom od kolei żelaznej.

Jakiż to przestwór, ile miejsca dla ludzi, którym duszno w Europie, dla myśliwych, dla szukających przygód, dla skołatanych dusz, dla miłośników przyrody, dla pracowników rolników i hodowców bydła, wreszcie dla różnych zbrodniarzy i szumowin ludzkich. Step wszystkich pochłonie.

Takie myśli przychodziły mi go głowy, chwilami żałowałem, że wtedy tam na dłużej, a może i na zawsze nie zostałem.

A tymczasem „S/S Andes" na 20-ty dzień swej podróży dopływał do ujścia rzeki Rio de la Plata i minąwszy Montevideo na 21-szy dzień rzucił kotwicę w stolicy Argentyny.

Buenos Aires liczy 2 miljony mieszkańców i zbudowane jest na miarę europejską.

W roku 1536 Hiszpanie po raz pierwszy założyli tu gród, lecz Indjanie zdołali ich wyprzeć. Dopiero w roku 1580 zdobywa Hiszpan Juan de Garay powtórnie zakłada tu miasto, nadając mu kształt szachownicy.

W roku 1810 Argentyna ogłasza niepodległość. Walki z Hiszpanami jednak trwają aż do roku 1816. Dziś kraj ten posiada 2,792.000 km^2 przestrzeni i z górą 11 miljonów mieszkańców (wraz z ludnością stolicy).

Statek już przybył do Buenos Aires i stanął przy kraju. Był już koniec czerwca, a więc to, co u nas grudzień. Słaby zimowy, mokry świt budzi nas przez zapocone szyby. Rozlega się dzwonek wcześniej niż zwykle. Ach, to przecież już koniec podróży, zaraz śniadanie, następnie sprawa bagaży..... i za chwilę rozpocznie się nowe życie dla

emigranta — szukanie pracy w tej Argentynie.

Robi się ruch, hałas, statek wkrótce pustoszeje, pozostaje tylko zmęczona usługa, zaśmiecone kabiny, brudy i zaduch. Emigranci już stoją przy ladzie w sali komory celnej, przewracają w swoich rozsznurowanych koszach i tobołach. Urzędnik machinalnie sięga ręką, wyciągnie jakiś przedmiot, obejrzy go i znów wrzuci. Ceremonja skończona.

Żegnam się z towarzyszami podróży tak, jak się żegna ludzi bliskich i oddawna znanych. Udaję się do miasta do biura kompanji okrętowej by się dowiedzieć o dalszej podróży.

Dr. B. Kalitowicz.

HISTORJA PRAWDZIWA O DUCHU

O zmroku, w dużym pokoju siedziało ich kilkoro. Nastrój był poważny, a nawet ponury. Opowiadali sobie historje prawdziwe, straszne zdarzenia z własnych przeżyć. Więc ktoś wspomniał, jak się topił, ktoś znów, jak wylazł na drzewo stojące nad głęboką przepaścią i zejść nie mógł. Któraś z panien wspomniała o duchach.

Wtedy odezwał się „Bąk":

— Ja wam opowiem historję prawdziwą o duchu. — Chłopcy spojrzeli na niego z ironją, a Marjan zapytał:

— Od której starszej panny to usłyszałeś? — „Bąk" odpowiadał poważnie:

— Przeżyłem sam. Więc panny chciały to koniecznie usłyszeć — tylko, żeby naprawdę straszne było!

Wobec tego „Bąk" chrząknął, wsadził wszystkie pięć palców we włosy i przeorał ich gęstwinę, zdjął okulary, ptem znów chrząknął i zaczął:

— Ostatnie wakacje spędzałem w bardzo miłej wsi podhalańskiej. W sąsiedniej znów, oddalonej o jakieś kilka kilometrów mieszkał mój kolega, Józek. Wiecie odwiedzaliśmy się często. Otóż, pewnego razu, zasiedziałem się u niego do późnego wieczora — wracałem do domu, około godziny dwunastej w nocy...

— A księżyc był? — przerwała sentymentalna panna Hania.

— Był — i to w pełni. Nawet on jest głównym bohaterem mojej historji.

— O! — a miał być „duch" — protestowała żądna emocji panna Zosia.

— Właśnie księżyc i duch. Więc było tak: szedłem pod górę, drogą między polami. Jak to wyglądało przy księżycu, nie będę opowiadał — bo nie jestem poetą. Ale w każdym razie, w pewnym momencie zauważyłem, że naprzeciwko mnie, na szczycie wzgórza błysnęło w blasku księżyca jakieś blade światełko.

— Ach... — westchnęła panna Hania.

— Oho! — już się zaczyna — ucieszyła się panna Zosia.

— No, teraz przystępuj do rzeczy! — powiedział Antek.

— Kiedy mi nie dacie mówić — niecierpliwił się „Bąk" — bądźcie cicho, to prędko skończę. — No więc błysnęło światełko. To światełko zaciekawiło mnie ogromnie. Potem spotrzegłem, że się porusza. Za parę minut już widziałem, że ma odblask zielonawy i unosi się nad jakąś białą postacią.

Panny wstrzymały oddech, chłopcy spoważnieli i spoglądali z ciekawością na „Bąka". A on ciągnął opowiadanie głosem tajemniczym i ponurym:

— Wtedy opanował mię lekki niepokój. Myślałem co to zjawisko ma znaczyć? Czy może to halucynacja z powodu dwunastej godziny, księżyca i zmęczenia. Przetarłem czoło chłodną ręką. Niestety, nie była to halucynacja. — Wzdłuż miedzy stały wierzby, których dziwne cienie kładły się na drogę. Zeszedłem więc z oświetlonej części drogi, na tę ociemnioną, i posuwałem się po-

woli naprzód. Biała zjawa przybliżała się też. Mogłem już widzieć, że jest to postać wysoka, cała w bieli, wokół głowy ma jasny krąg światła, jakby aureolę, a na ramieniu niesie ogromną kosę. — Tak. I ta kosa błyszczała tem niesamowitem światłem. — O, teraz to już bałem się naprawdę. A duch zbliżał się ku mnie coraz bliżej, coraz bliżej...

— Hania przytuliła się do Zosi, a Zosia rozejrzała się trwożnie po pokoju. Było już prawie ciemno.

— Już tylko kilkanaście metrów dzieliło mnie od zjawy. Wiecie, że jestem odważny, ale wtedy drżałem ze strachu. Nie mogłem już postąpić ani kroku naprzód. Ostatnim wysiłkiem schowałem się za starą szeroką wierzbę i tam czekałem na przejście ducha. Może mnie minie spokojnie. — Upłynęła minuta. Duch nie przechodzi. Upłynęła druga, długa jak wieki... Nic. — Wysuwam ostrożnie głowę: Niema ducha. Wyszedłem pomalutku z ukrycia i idę trwożnie naprzód... Aż tu nagle dwa kroki przedemną kosa ducha... Włosy stanęły mi „dęba" na głowie. W tej chwili zobaczyłem go przedemną. Znieruchomiałem. — A duch siedzący pod wierzbą wstał spokojnie i powiedział życzliwie: „Niech będzie pochwalony"... — Ochłonąłem momentalnie ze strachu i odrzekłem: „Na wieki wieków". A potem zacząłem się śmiać jak szalony. Popatrzył na mnie ze źdźiwieniem, mruknął: „Ostańcie z Bogiem" — i powoli poszedł dalej ze swoją srebrną kosą na ramieniu".

Słuchacze podnieśli wrzawę:

— Ale co to było? Jakto? Poszedł? Jak wyglądał zbliska? Wytłumacz! Dlaczego się przestałeś bać???

— Bo to był góral.

Posypały się pytania:

— Dlaczego z kosą? W bieli? Co znaczyła aureola? Dlaczego się schował za wierzbę?

— Zaraz, zaraz. Pomału. Był z kosą, bo wracał od żniwa. Gdzieś zdaleka. W bieli, bo koszulę miał wyciągniętą ze spodni i puszczoną po wierzchu. Aurola to były długie, siwe włosy. A za wierzbą siadł bo był pewno zmęczony i chciał sobie odpocząć.

Teraz zapanowała ogólna wesołość. Ktoś powiedział:

— Ale sobie z nas zadrwiłeś! I wszyscy się śmiali. Lecz „Bąk" wkładając okulary na nos odrzekł:

— Wcale sobie nie zadrwiłem. Opowiadałem historję prawdziwą o „duchu".

Marja Walter-Croneck.

METEORYTY

Z okazji znalezienia w Afryce największego z dziś znanych nam meteorytów, warto powiedzieć słów parę o tem potężnem zjawisku kosmicznem.

Już gwiazdy spadające, te pyłki kosmiczne, których śladu doszukać się trudno na powierzchni ziemi, niezapomniane pozostawiają po sobie wrażenie, gdy się je obserwuje w ciche sierpniowe, czy listopadowe wieczory. A były deszcze gwiazd tak wspaniałe, że przeszły do historji jak n. p. roje obserwowane przez Humbolda z szczytów And dnia 12 listopada 1799 r. a następnie znów w tym samym dniu 1838 r.

Gwiazdy spadają cicho.

Spadaniu meteorytów towarzyszą zjawiska nietylko świetlne ale i akustyczne. I tak np. meteor widziany w Warszawie 30 stycznia 1868 r. nietylko oblał całe miasto łuną żółtawego początkowo światła, mieniącego się następnie w niebiesko-zielonkawe, aż do ciemno-czerwonego odcienia, ale pękł nad Pułtuskiem z wstrząsającym hukiem, któremu towarzyszył wśród głuchej nocy, łoskot spadających kamieni, trzask łamiącego się pod ich gradem lodu, na Narwi.

Okruchy te pokryły przestrzeń dwu-

dziestu kilometrów kwadratowych, a będąc przeciętnie kilkunastogramowej wagi, dochodziły jednak do 7 kg .

400 z tych kamieni zebrali delegowani uczniowie Szkoły Głównej z Warszawy. Ogromna liczba rozeszła się przez ręce handlarzy po świecie. Jeden z Pułtuskich okruchów zakupiony w Wiedniu przez rząd francuski doczekał się honoru, iż zdobi pieczęć króla Anamu ofiarowaną temu władcy przez Francję na znak zależności.

Znacznie potężniejsze jeszcze zjawiska towarzyszyły meteorytowi, który spadł 22 lat temu w okolicy rzeki Tunguski w północnej Azji. Oto dnia 30 czerwca obserwowano w całej północnej i środkowej Europie, jakby chmurę świesącą w nocy, tak, że można było czytać przy tem świetle. Dnia 1 lipca chmura stała się gęstszą i jakby bliższą ziemi. Następnie już tylko w promieniu 100 km. obserwowano wśród syberyjskiej tajgi wznoszący się słup ognia. Naokół drzewa zostały wskutek szalonego pędu powietrza, momentalnie odarte z gałęzi a nawet z kory, oraz zwęglone w straszliwym żarze.

Dziś jeszcze leżą, jak przed 22 laty zwrócone wierzchołkami wszystkie dokładnie ku miejscu, które stanowiło środek potężnego zjawiska.

A jednak nie był to największy meteoryt. Przewyższa go rozmiarami wspomniany na początku meteoryt Afrykański.

Jest to blok prostokątny o rozmiarach 9×10 stóp powierzchni i do 4 stóp grubości. Składa się z 81,29% żelaza, a 17,42% niklu. Wskutek tej domieszki twardszy jest od stali używanej do wyrobu kół lokomotywy.

W chwili odkrycia, jak podaje „Przyroda i Technika" w Nr. lutowym, tylko niewielka część meteorytu wystawała nad powierzchnię ziemi, gdyż zarył się on głęboko w otaczający wapień, tak, że trzeba było kopać rów dookoła, aby go móc zbadać dokładniej.

Posiada on ciekawą własność. Powierzchnia jego pozostaje zupełnie zimna nawet wtedy, gdy otaczające skały ogromnie się rozgrzewają pod promieniami tropikalnego słońca.

Umysł ludzki, przytłoczony potęgą tych wspaniałych zjawisk, skłania się ku przypuszczeniom, że są one bardzo rzadkie na kuli ziemskiej.

Z jakiemże zdumieniem czyta się w dziełku prof. Ernsta p. t. *Energja słońca* wiadomość, że masę meteorytów spadłych w ciągu jednej tylko doby na ziemię szacuje ten uczony na 100.000 kg. i to zastrzegając się parę wierszy dalej, że szacowanie to jest zbyt skromne.

Myśli i uczucia powstające przy zaznajamianiu się z tem potężnem zjawiskiem można ująć chyba tylko w dwuwiersz:

„Bo świat jest Boży
A Bóg jest wielki".

M. S.

DO SMUTNEJ

Już wiosna, cierpień kres,
precz z serca, smutku!
znów wonny lila bez
zakwitł w ogródku!

Znów przyszedł, jak co rok
maj rozśpiewany,
znów słońce gasi mrok
i goi rany.

Przeminie wszystko złe...
— Patrz! Znowu wiosna...
Niejedna czeka cię
chwila rodosna!

Nie biadaj, nie roń łez!...
Precz z serca, smutku!
Patrz! znowu lila bez
zakwitł w ogródku...

Alina Kwiecińska.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

ŻYCIE RELIGIJNE

Przed 1500 laty — i dziś.

Spory chrystologiczne w V-tym wieku nie były tylko przedmiotem zainteresowań dla teologów, ale zajmowały wszystkie umysły wykształcone od cesarza począwszy. Jeżeli Chrystus jest Bogiem a równocześnie człowiekiem, to w jakim stosunku wzajemnym pozostają te dwie natury? W odpowiedzi na to zagadnienie zabrały głos dwie szkoły: aleksandryjska i antjocheńska, pierwsza o metodzie alegoryczno-mistycznej, druga — krytyczna i rozumowa, wpadająca nawet w hiperkrytycyzm. Szkoła aleksandryjska twierdziła, że złączenie dwóch natur w Chrystusie jest silne (synkresis), podczas gdy antjocheńska, nie rozróżniając jeszcze osoby od natury, dowodziła, że druga Osoba Boża mieszka w Chrystusie jak w świątyni. Doszło do wyraźnej scysji, gdy Nestorjusz począł jawnie występować przeciw nazwie „Boża Rodzicielka". Patrjarcha aleksandryjski, Cyryl, wystąpił zdecydowanie przeciw Nestorjuszowi, pisząc przeciw niemu 12 anatematyzmów. W osobie Nestorjusza czuła się pokrzywdzona cała szkoła antjocheńska. Rozstrzygnięcie sporu miało przyjść od soboru zwołanego do Efezu na rok 431 przez cesarza Teodorjusza II.

Papież wysłał na sobór trzech legatów z poleceniem, by stali po stronie Cyryla Aleksandryjskiego i zgodnie potępili naukę Nestorjusza. Wkrótce i antjocheńczycy w przeważającej liczbie ustąpili i razem z Cyrylem podpisali zatwierdzone przez Kościół rzymski wyznanie wiary. „Chrystus jest prawdziwym Bogiem: prawdziwym człowiekiem, obie natury są połączone; jest jeden Chrystus, jeden Syn, jeden Pan". W duchu tego połączenia uznano Najśw. Marję Pannę Bogarodzicielką.

Wspomnienie tych doniosłych zdarzeń przeżywaliśmy w czasie uroczystości Marjańskich w Krakowie: **Zjazdu Sodalicji Marjańskiej akademiczek** (w dniu 9-11. IV), obchodzącej 25-tą rocznicę swego założenia, oraz **Kongresu Marjańskiego** (w dniu 11 i 12. IV), odbytego pod protektoratem całego Episkopatu polskiego. — Głównemi momentami Kongresu były obrady delegatów Związku Sodalicyj Marjańskich inteligencji męskiej, przy udziale delegatek sodalicyj żeńskich, oraz uroczyste nabożeństwa celebrowane przez licznie przybyłych księży biskupów w kościele OO. Franciszkanów, Marjackim i w katedrze na Wawelu.

Obrady toczyły się w **sekcjach**: życia zewnętrznego i pracy apostolskiej, oraz **na zebraniach plenarnych**: inauguracyjnem i końcowem. Wygłoszono szereg podniosłych i naukowo wartościowych referatów, między niemi: J. E. Biskupa St. **Okoniewskiego**: „B o ż e M a c i e r z y ń s t w o N a j ś w. M a r j i P a n n y n a S o b o r z e w E f e z i e". **O. J. Rostworowskiego T. J.**: „T ę s k n o t a d u s z y w s p ó ł c z e s n e g o c z ł o w i e k a z a w i a r ą", prof. **O. Haleckiego**: „U d z i a ł k a t o l i k a w t w ó r c z o ś c i k u l t u r a l n e j". Wszystkie przemówienia wskazywały na wielki rozwój życia religijnego wśród młodego pokolenia i budziły nadzieję że spełnią się życzenia wyrażone w końcowem przemówieniu **J. Em. ks. Kardynała Prymasa Hlonda** — wniesiemy Chrystusa i Marję w nasze życie rodzinne, narodowe i państwowe.

Niezapomnianą chwilą kongresu będzie wspólna nocna **adoracja** w kościele Marjackim, **Msza św.** o godz. 0,30 celebrowaną przez J. E. Księcia Metropolitę krakowskiego i generalna Komunja św.

Zakończeniem uroczystości był **pochód z ryngrafem sodalicyjnym**, niesionym w otoczeniu księży Biskupów, duchowieństwa, sodalicyj, bractw, i nieprzeliczonych tłumów publiczności na Wawel, gdzie przed Najświętszym Sakramentem uczestnicy kongresu odmówili głośno **„Credo"** nicejskie. Po odśpiewaniu **„Tantum ergo Sacramentum"** wśród bicia dzwonu Zugmunta, nastąpiło błogosławieństwo Najśw. Sakramentem — wreszcie choralna pieśń „Serdeczna Matko".

SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE

W sprawie zmiany naszej konstytucji marszałek sejmu rozesłał ankietę do uczonych historyków i prawników, z prośbą o wyrażenie swej opinji. Niektórzy nadesłali już swe odpowiedzi.

Związek polskiej inteligencji katolickiej w Lublinie z ks. prof. Szymańskim na czele, wydał broszurę p. t. „Rewizja konstytucji marcowej i postulaty katolickie“, w której podaje projekt reformy.

Na polską łódź podwodną młodzież polska w Charbinie zebrała 325 dol. i 59 jen.

Międzynarodowy trybunał w Hadze będzie w tych dniach rozpatrywał sprawę dzieci śląskich, zakwalifikowanych przez inspektora szwajcarskiego do szkół polskich, a które Niemcy chcą przenieść do szkół niemieckich.

W polityce zagranicznej ogólne poruszenie wywołała sprawa unji celnej między Niemcami i Austrją, zagrażająca samodzielności Austrji i naruszająca uchwały traktatu wersalskiego. Oponuje zwłaszcza Anglja i Francja. Dla nas kwestja ta ma też doniosłe znaczenie.

Król Hiszpański, Alfons XIII, dn. 13 kwietnia b. r. zrzekł się tronu i podpisał rezygnację dynastji z praw do korony. — Utworzył się tymczasowy rząd republikański, na którego czele jako prezydent i premjer stanął Alcala Zamora.

Król Alfons, ur. 17 maja 1886 r. pochodzi z dynastji Bourbon-Anjon, która z krótką przerwą w 1873 r. panowała w Hiszpanji przez lat 200. — Król Alfons wstąpił na tron mając lat 16 i zyskał sobie ogólną sympatję, która zachwiała się wskutek niepomyślnej wojny marokańskiej. W czasie wojny światowej Hiszpanja zachowywała neutralność, a król z nadzwyczajną bezstronnością popierał wszelką działalność na rzecz jeńców wojennych i rannych. Obecne niepowodzenia polityki królewskiej są wynikiem zbyt surowych rządów dyktatora, Primo de Rivery. Jego następca, premjer Berenguer nie zdołał jeszcze uspokoić umysłów, a ostatnie wybory komunalne przyniosły zwycięstwo republikanów.

Stany Zjednoczone Ameryki Półn. podniosły dzień 11 października 1931 r., rocznicę zgonu jen. Kaźmierza Pułaskiego do znaczenia święta narodowego, wzywając urzędników, aby w dniu tym wszędzie gmachy państwowe wywiesiły flagi amerykańskie oraz aby wszyscy mieszkańcy St. Zjednoczonych uczcili dzień ten w szkołach i kościołach obchodami ku czci Pułaskiego.

W Warszawie otworzono 10. IV. b. r. interesującą **wystawę wychowania przedszkolnego.** Mieści się ona w gmachu przy ul. Leszno 111 i daje imponujący obraz wysiłków i postępów naszych wychowawców w tej dziedzinie. Biorąc wzory z zagranicy (Montessori, Decroly, Pestalozzi) stworzono własny polski system kształcenia, wychowania dziatwy między 4-7 rokiem życia. Warszawa poszczycić się może całą siecią wzorowo prowadzonych przedszkoli, między któremi odznacza się przedszkole miejskie Nr. 49. Dziatwa ma tam nietylko sale do zabaw i pracy, sale jadalne, ale i salę z basenami do brodzenia w wodzie, z wannami i z prysznicami. — Dziatwa prowadzona systemem „pracowni“ sama wybiera sobie zajęcia w pracowni budownictwa, ćwiczeń umysłowych, rysunków i t. p. W robotach dzieci zadziwia pomysłowość i wrodzone poczucie piękna, a w dziale pomocy szkolnych zwracają uwagę wyroby wykonane przez wychowawczynie.

Nie wszędzie poza stolicą praca w przedszkolach stoi na tak wysokim poziomie. Może wystawa niniejsza zachęci młode siły do kształcenia się w tym kierunku. Wdzięczne to pole pracy!



My w Stanisławowie też pilnie pracujemy w naszem przedszkolu!

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Do walki z zagrażającą w tym roku plagą chrabąszczy wezwano, na skutek rozporządzenia min. rolnictwa samorządy powiatowe, szkoły powszechne i średnie, stowarzyszenia młodzieży i organizacje społeczno-oświatowe.

Od kiedy ludzie zaczęli hodować drzewa owocowe? Ciekawym przyczynkiem do wyświetlenia tego pytania są odkrycia prof. Hofmana w Austrji Górnej. Znalazł on mianowicie przepołowione jabłka i gruszki, nieźle zachowane w mule nadrzecznym w pobliżu polowych budowli neolitycznych. Można nawet rozpoznać dwa gatunki jabłek: jedne małe, dzikie, drugie mięsiste, uszlachetnione Jabłka te są przez środek przebite, jest więc przypuszczenie, że nawlekano je na sznurki do suszenia. Wedle tych i innych wykopalisk można ustalić że już na wiek przed Chrystusem znano hodowlę drzew owocowych.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Skrudlik Mieczysław: **Królowa Korony Polskiej.** Szkice z historji malarstwa i kultu Bogarodzicy w Polsce, Lwów 1930 Nakl. Tow. „Bibljoteka Religijna". Str. 372.

W obszernem a przystępnie napisanem dziele, ozdbionem przeszło 100 wizerunkami Matki Najświętszej daje autor obraz ścierania się wpływów bizantyjskich i łacińskich na polu naszego malarstwa religijnego. Bogata bibljografją podnosi wartość naukową tej pracy, liczne podania i legendy przywiązane do obrazów Matki Boskiej, budzą zainteresowanie warstw szerszych.

Bonsels W. **Marek w lesie.** Przekład H. Sroczyńskiej, Ilustr. K. Mackiewicza. Poznań Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Powieść ta na pierwszy rzut oka, może się wydawać powieścią dla dzieci: chatka leśna, stara Jagulina i zbłąkany sierota, — są to jednak tylko pozory. Razem z małym Markiem przeżywa czytelnik uroczy rok na łonie przyrody, wnikając w jej bogactwa i przedziwny wpływ pedagogiczny. Rażą pewne niekulturalne obyczaje Jaguliny, stojące w sprzeczności z jej umysłem głębokiego znawcy ludzi i przyrody. Nikną one jednak w ogólnej słonecznej atmosferze przeplatanej powagą i czystością, którą daje bezpośredni kontakt duszy z przyrodą.

Morcinek Gustaw. **Byli dwaj bracia.** Powieść. Poznań 1930. Nakl. Księg. św. Wojciecha.

Na zadymionem tle „hawierni" śląskiej kreśli autor powieść swoją. Dwóch synów prostego „gazdy" idzie w życie różnemi drogami; starszy, ulubieniec ojca, ma zostać inżynierem, młodszy prostym górnikiem. O pieniądz wybucha nienawiść wzajemna pełnym płomieniem. Dwie postacie niewieście są „duchami" powieści; urocza Hanka jako anioł pokoju i zgody, odrażająca Zuzka jako przyczyna wszystkiego zła. Kto zwycięży?... Autor kończy pełnym akordem słońca i pokoju ku chwale dobra, które zwyciężyło.

Bronté Karolina. **Dziwne losy Jone Eyre.** Powieść. II. tomy. Przekład T. Świderskiej a przedmową A. Tretiaka. Poznań 1930. Nakl. Księg. św. Wojciecha. 20 × 13. str. XV. + 260 + 285.

Jest to jedna z tych powieści porywających czytelnika głębią cierpienia i miłości swych bohaterów. Jone Eyre to sierota krzywdzona od kolebki, która po ukończeniu Zakładu wychowawczego przyjmuje posadę nauczycielki prywatnej w bogatym majątku. Między nią, a panem domu powstaje miłość, z początku ukrywana z obu stron, jednak głęboko się rozwijająca. W chwili ślubu wykrywa się nagle, że pan Rochester jest już żonaty, wobec czego Jone pokryjomu ucieka w świat. I tutaj zaczyna się do głębi wzruszający tragizm. Żona p. Rochestera została mu narzuconą dla pieniędzy, ani jej nie znał ani nie kochał. Po ślubie okazało się, że został uszukany, ukrywano bowiem przed nim że nosi ona w sobie zarodek obłędu, który w bardzo krótkim czasie rozwinął się ohydnie. Kościół Anglikański (cała powieść pisana na jego tle) nie dał wobec tego rozwodu i młody, gorący Edward rzuca się w wir życia. Dopiero postać niewinnej i szlachetnej, — chociaż mało pięknej, — Jone reflektuje go i budzi w nim pragnienie zupełnej odmiany życia.

Po strasznej katastrofie w której Rochester zostaje ślepym i bez ręki a żona jego traci życie odnajduje Jone dawnego narzeczonego, by go poślubić.

Postać tej młodej nauczycielki jest wprost arcydziełem, bo przy gorącej naturze zdolnej do wielkiej miłości przechodzi przez życie zasłane trudnościami i sidłami nieskalana, tem właśnie zdobywając sobie miłość duszy potężnej, choć nieszczęśliwej i zbłąkanej Rochestera. — Nasuwa się przy czytaniu taka głęboka refleksja: ta młoda niedoświadczona Anglikanka czerpała siłę i moc ducha jedynie z wierności „zasadzie“, czemu zaś brak jej niejednej katoliczce, mającej przecież pełnię łask, z której czerpać może?

Nadto nadesłano do redakcji: Wyd. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Sawicki ks. dr. Fr. Dusza nowoczesnego człowieka (patrz str. 171).

Kubina ks. Biskup: Akcja katolicka a akcja społeczna.

Szymański ks. dr. A.: Akcja Katolicka a działalność gospodarczo-społeczna.

F. W. Foerster. Religja a kształcenie charakteru.

Szpotański St. Bez ziemi i bez nieba.

Mickiewicz: Oda do młodości.

Calvet: O twórczości w krytyce.

Domaniewski: Ptaki naszych lasów.

Kozłowska: Egipt darem Nilu.

Adams: Tajemnica domu.

Bandrowski: Wieś czternastej mili.

Wydawnictwa Książnicy Atlas we Lwowie:

Przybylski S. Goniec królewski, pow. historyczna.

Ossendowski A. F. Zagończyk pow. historyczna.

Wydawnictwa Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Lwowie:

Baccini Ida: Pamiętnik kurczątka.

Przybylski S. Nowe baśni tysiąc jednej nocy.

Maykowski St. Śpiew o wydrze.

Książki te omówimy obszerniej w następnych numerach.

MODLITWA

Chwała Ci, Panie ziemi, co zapalasz zorze,
błyskające, jak gejzer, ognistymi słupy,
co nam mówisz tajemnie w leśnym rozhoworze
i przenikasz powłokę tej ziemskiej skorupy...

Chwała Ci, Zbawco Świata! Twych rozkazów czeka
hufiec białych aniołów, wszystkie lądy, morza
i przyroda potężna i dusza człowieka
i światy zawieszone w błękitach przestworza...

I chwała Tobie, Panie, za te rzeczy proste;
za drogi wysadzane drzewami jabłoni,
za maki i bławaty, za złe polne osty,
za różyczki w ogrodzie, krwiste pelargonje...

A największą już chwałę przyjmij Chryste Panie
za nasz uśmiech człowieczy przedziwnej dobroci
i za serce, za radość, za życie, kochanie
i za szczęście wiosenne, za ten kwiat paproci...

Baśka Marcinkowska

SPRAWY KOBIECE

Projekt powszechnej obywatelskiej służby kobiet spotkał się z entuzjastycznem uznaniem jednych, kategorycznem potępieniem innych, lub też z rozważnem szukaniem środka przez wykazanie konieczności odkładania na daleką metę prób w tym kierunku.

A Wy, najbardziej zainteresowane w tej sprawie, Czytelniczki nasze co o tem sądzicie?

Przeczytajcie co pisaliśmy o tej kwestji w Nr. 2. VII, str. 42 i odpowiedzcie na pytanie:

— Czy pragniesz zrealizowania projektu powszechnej obywatelskiej służby kobiet?

— Dlaczego?

Jak sobie tę spawę wyobrażasz?

— Może pragnęłabyś tej pracy, w jakiejś formie zmienionej? — w jakiej?

Odpowiedzi nadsyłać mogą wszystkie Czytelniczki „Dziś i Jutro“, ale prosimy o podanie swego imienia i nazwiska, wieku, lub klasy szkoły, do której się uczęszcza.

Kto nie chce, aby jego nazwisko było wymienione w sprawozdaniu, jakie z tej ankiety ogłosimy, może obok nazwiska podać pseudonim.

Nie zwlekajcie z nadesłaniem odpowiedzi! mogą być bardzo zajmujące i mogą stanowić początek wzajemnej wymiany myśli — podobnej, ale poważniejszej, niż w dawnych „Gawędach przyjacielskich“, o których wznowienie tak często redakcję prosicie.

OD REDAKCJI

Mali K. — Za bardzo miły liścik — dzięki. „Przez święta przeglądałam dawne roczniki „Dziś i Jutro“ i przekonałam się, że czytałam je zbyt powierzchownie. Można w nich znaleźć o wiele więcej niż się zdawało. Teraz kocham „Dziś i Jutro“ za to, że jest tak gorąco katolickie, i tak pełne optymizmu, którego nam tak potrzeba, bo naprawdę można powiedzieć że 90% cierpi u nas na melancholję i marzycielstwo. Czy to jest dobre, czy złe? — Że pokochałaś „Dziś i Jutro“ — to bezwarunkowo jest dobre, bardzo dobre, że wiele z was cierpi na melancholję — to źle, bardzo źle. Pocieszam się jednak myślą że tak surowa djagnoza twoja jest wynikiem chwilowego nastroju pesymistycznego — może wobec kończących się wakacyj. — Marzenie może być niekiedy dobre: jeżeli trwa bardzo krótko, niejako błyśnie tylko jak latarka oświetlająca drogę i wywoła czyn dobry. Jeżeli się przeciąga i powoduje lenistwo myśli i czynów winno być opanowane. W sprawie „Gawęd“ pisałam kilka razy. Podajcie temat zajmujący dla ogółu, to gawędy się zawiążą. Może wyżej przytoczony spodoba się Wam? — Napisz co sądzisz o powszechnej obowiązkowej służbie obywatelskiej kobiet?

M. G. we Lwowie. Na przesłanych mi kartkach brak podpisów. Nie możemy drukować utworów nie znanych nam autorów.

S. F. O wesołe wierszyki bardzo prosimy. Żarciki też przydadzą się. Ilustracje pożądane.



Wiosna

JULJAN EJSMOND

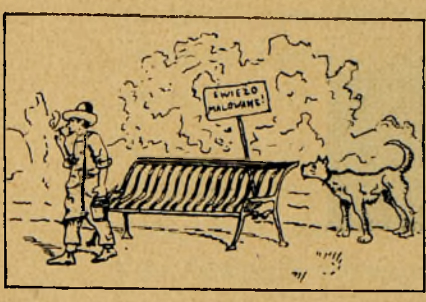
(Z prac „Kółka polonistycznego" im. Cyprjana Norwida ucz. gimn. SS. Urszulanek w Poznaniu).

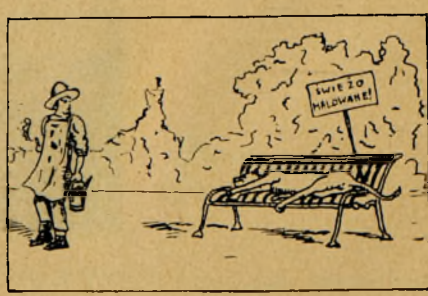
Juljan Ejsmond w jednym ze swych ostatnich wierszy p. t. „**A gdy przyjdzie godzina**", przeczuwa chwilę swej śmierci, gdy zejdzie ze świata, jak słońce, jasny do ostatniej chwili, odleci w inną krainę, jak ptak, który tylko ziemię zmienia na niebo.

Za słoneczną postacią Ejsmonda szły nierozdzielone piękno i radość życia, płynąca z miłości do ludzi i natury. Ejsmond, który do końca życia zachował coś ze świeżości i wesołości dziecka, zdobył uznanie w świecie literackim, pierwszym tonem „Bajek", wydanych 1912 r. Sienkiewicz nakłonił go do studjowania języków i literatury klasycznej. Nagroda literacka, którą Ejsmond zdobył w 1919 r. za „Przekład łacińskich utworów Jana z Czarnolasu" i Sarbiewskiego, świadczy, jak owocną była rada. Zachwyciły go hymny naszych humanistów, które są jakby potężną, a prostą, szczerą i polską modlitwą do „Pana lazurów", Ejsmond tak wczuł się w formę i słownictwo starych pisarzy, że jego przekłady pięknością polszczyzny nie ustępują oryginałom. Drugi tom „Bajek" wydany w 1927 r. pełen dowcipu i humoru zyskał poecie wielką popularność i wzbogacił dział literatury, który od połowy XIX w. uległ u nas zaniedbaniu. Ejsmond umiał drwić ostro, lecz posiadał w wysokim stopniu znajomość „sztuki wymyślania". Mówił w oczy przykrą prawdę, lecz czynił to serdecznie i z humorem, bez cienia złośliwości, lub grubjaństwa. Ejsmond kochając dzieci napisał i dla nich kilka ładnych utworów. Z biegiem czasu w twórczości Ejsmonda coraz więcej miejsca zajmuje przyroda. Stosunek poety do przyrody jest szczery i naturalny, jak między rozumiejącymi się przyjaciółmi. Ejsmond nazywa się żartobliwie „ministrem spraw zwierzęcych". Występował bowiem w ministerstwie rolnictwa w obronie zwierzyny i jego staraniem została przeprowadzona ustawa łowiecka o ochronie zwierzostanu. Wiele gatunków zwierząt, którym groziła całkowita zagłada, zawdzięczać będzie swój byt Ejsmondowi. Ejsmond rozumie zwierzęta i drzewa i opisuje je z ich punktu widzenia. Znajomość przyrody zawdzięcza wyprawom łowieckim. Był zapalonym myśliwym — lecz czarem polowania nie był dla niego rekord zabitej zwierzyny, ale sposobność obcowania z przyrodą, chwytania jej życia na gorącym uczynku. Nieraz puszczał zwierzynę bez strzału, gdy, jak mówił, zbyt pięknie było dokoła, by zabijać. Zwycięstwo poety nad myśliwym uważał za najwyższy stopień doskonałości łowieckiej. W dziedzinie powieści i nowel myśliwskich Ejsmond zajmuje w naszej literaturze pierwsze miejsce po Weyssenhoffie. Opowiadania jego pisane swobodnie, a prostym językiem robią wrażenie poezji. Ejsmond, to poeta życia, w najdrobniejszych jego objawach umie znaleźć piękno.

J. Belinianka.

I TAK BYĆ MOŻE...





CZEM CHCĘ BYĆ?

Na dworze szaleje wichura. W pokoju zacisznie. Zdaje się, że śnieżyca świat zasłania, a tymczasem przez kwiaty mrozu na szybach patrzą oczy duszy. Zdaje się, że wśród tumanów błyszczy jasna droga stromą pochyłością biegnącą ku górze. To droga do wymarzonego ideału. Ideał ten stworzyłam sobie jeszcze dzieckiem patrząc na ojca.

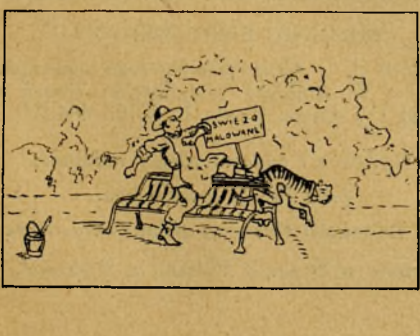
Praca społeczna. Praca nad podniesieniem dobrobytu tych warstw, które go nie mają. Oto cel oto ideał. Wieś ukochałam i według wszelkiego prawdopodobieństwa danem mi będzie na niej mieszkać. W ten sposób pojęcie pracy społecznej skrystalizowało się jako pojęcie pracy wśród ludu. Korzystając z rocznej przerwy w nauce dostałam się w 15 roku życia na zebrania młodzieży wiejskiej, a także na zebrania rolnicze. Później nadszedł znowu okres nauki szkolnej. Jak tutaj dążyć do wytkniętego ideału? Zdawało mi się, że powinnam organizować koła wzajemnej pomocy w nauce i samorząd w klasie. Projekty te prysły jak bańka mydlana, rozbijając się o apatję koleżanek. A może to ja zawiniłam brakiem wytrwałości i zdolności organizacyjnych. Wkrótce znalazłam koleżankę pokrewnego sposobu myślenia. Chciałyśmy na wzór Zana i Mickiewicza założyć filomatów. Na początek same zaczęłyśmy pracować. Główny wysiłek zwróciłyśmy w kierunku pracy nad swoim charakterem i w kierunku pomagania niezdolnym koleżankom w nauce.

Mimo to ciągle zdawało mi się, że się zapieram swego celu, że za mało w tym kierunku pracuję. I oto pracując w sekcji społecznej sodalicji Marjańskiej, podjęłam się opieki nad pewną biedną rodziną. Z natury będąc mało uczuciową, a raczej wmawiając w siebie, brak uczucia, ograniczałam się do materjalnej pomocy. Później zrozumiałam, że to nie wystarcza, że mam obowiązek dać im szczęście przez przekonanie ich, że ono jest w nich samych, a nie poza nimi, że ani tak jak i inni mają prawo do życia, nie tylko do wegetacji. Poczułam się wprost dzieckiem tej rodziny. Obudziło się uśpione serce. To mi dało satysfakcję, że dążę do celu choć pogląd na cel uległ pewnemu odchyleniu gdy przeniosłam pracę społeczną w dziedzinę moralną, wyższą, potężniejszą i lepszą.

Chcę dojść do celu, a chcieć to móc! Dojdę! Czuję jakąś siłę, co wprost serce rozrywa. Dusza wyprzedza ciało po tej drodze utkanej w dumaniach w szalejący śnieżycą dzień.

H. B. VII. kl. gimn.

POWIASTKA BEZ SŁÓW.





ŁAMIGŁÓWKI

Uszkodzony rękopis.

(uł. M. W.)

W miejsce kresek wstawić brakujące litery — i wyrazy:

W głębo — — rze stała niska chatka, oto — — małym — — w którym latem kwitło. — — W cha — — szkał stary —. Lu — — wili o nim, że — lat co bór — — w chatce od daw — — sów, razem ze swoim przy — — ornym pies — — — ogonem. — — zupełnie nierozłączeni.

Pewnej wios — — dużej zimie śniegi gwałtow — — — częły, grunt leśny, który był zawsze wil — — nający się pod stopą ludzką, zamienił się w jedno olbrzy — —. — ruszek przez k — naście dni — — wyjść ze swej leśnej chatki. Zap — y żywn — — yły się, a droga do sąsiedniej — była nie —. Głód zaczął zaglądać — — — — — — osłabiony na łóżku, a Reksio sto — — — ego pana skomlał c — tko. Zwykle co tydzień — — nem do wsi —. — dwa tygodnie — — dlaczego — — zna drogę —. — po męczącym śnie — tego przyjaciela nie by —. — a pomogły — — — — — — — — — — — — — — — — — —

z kępy na kępę — — koszyk z — w zębach — — — — — — — — — — — — — — — — —

Może która z przyszłych nauczycielek lub z obecnych kerepetytorek zechce poprawić to zadanie? — Ile tu błędów?

Dnia 5 kwietnia 1931 r.

Zadanie szkolne.

Jagiełło.

Przy boku Jadwigi królewnej czeski zasiadł u tronu Władysław Jagiełło syn Kiejstuta, i panował polsce od r. 1386—1334. r. Był to nie uczony prostak bo nawet czytać i pisać nieumiał, ale miał rozumny rozum i bystre pojęcie. Przyjął z prawdziwym zamiłowaniem Chrześcijaństwo i oznaczał się gorliwą pobożnością i życiem cnotliwym. Pozostały mu jednak z czasów pogańskich nawyczki zabobonne jak uważać, żeby rano z łóżka wstać prawą nogą, bo ta szczęście przy nosi na wychodnym z domu łamał słomkę na 3 kawałki i rzucał ich przed siebie. Nosił najproszsze sukienne odzienie a zimą korzuszek jagniency. Dziwnie był sprawiedliwy dla swojich ludów między Polakiem i rusinem lub litwinem żadnyj nie popełnial różnicy. Wojował zwycięsko z krzyżakami. Sama Jadwiga po błogosławiła go na drogę. Wygrał wielką wojnę pod Grunwaldem dnia 15 września 1410 r. Pomagał mu jego wuj Witold i sędziwy biskup Oleśnicki. Poległo wtedy masy recerstwa krzyżackiego a między niemi nawet wielki mistrz kontur Otto von Malborg. Jagiełło miał 4 żony. Jadwigę, Elżbietę Zofję Granowską i Sońkę Ruskę. Doczekał się tagże 3 synów: Kazimierza, Władysława i Fryderyka, który był kardynałem płockim. Życie za kończył w Grótku Jagiellońskiem, gdy słuchał śpiewu skowronków na ukochanej Litwie Było to w roku 1444 r.

TREŚĆ Nr. 8.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi $1^1/_2$ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

DRUKARNIA
POLSKA KRAKÓW